TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"		DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"	
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 9. *Chicago, Ills., 26 Sierpnia, 1886 r.* Rok III.

DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ

— Z —

CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

(Ciąg dalszy.)

Zamyślił się nieco Clotomont, nie tak dalece nad tem co czynić wypadało, jako raczej nad tem jak to Mondorowi oświadczyć. Nakoniec rzekł:

— Jest jeszcze jeden środek, ale niebezpieczny:

— A to jaki? — zapytał Mondor.

— Hrabia de Meligny, brat królowej, — odpowiedział Clotomont, — należy do liczby tych, którym się twoja kochanka podobała.

— I ten także! — przerwał Mondor, — a to prawdziwe nieszczęście na mnie. Niechże się dzieje co chce, niech sobie panna odjeżdża do domu; czy ten, czy ów, to mi wszystko jedno, skoro się ma zawsze na tem skończyć, że ja dla innego zabiegi czynić będę, i że sobie powiem: „sic vos non vobis".

— Otóż masz — rzekł Clotomont, — znowu się zapalasz, niewiedzieć czego. I cóżto szkodzi, że się hrabiemu de Maligny Modrzejowska po-

dobała, on przecież z tobą o jej rękę ubiegać się nie będzie; znajduje zwyczajnie upodobanie w jej towarzystwie, lubi patrzeć na jej piękną twarz, i markotnymby był, gdyby Marya dwór opuścić miała. Można korzystać z tych dobrych chęci jego i prosić go, aby nakłonił królowę do przeszkodzenia oddaleniu się Maryi.

— Rób co chcesz — odpowiedział Mondor, który mało miał nadziei pomyślnych skutków swego starania. — Pamiętaj przynajmniej na to, że zobowiążesz nieszczęśliwego, jeżeli mu szczerze i dobrze życzyć będziesz.

— Czyż możesz wątpić o tem? — odpowiedział Clotomont, i pospieszył do hrabiego de Maligny, którego on pierwszy uwagę na wdzięki Maryi był zwrócił i ciągle niemi zajmował, ażeby sobie przychylność, tak wielkie wpływy mającego pana zjednać. Łatwo mu było nakłonić go, aby uprosił królowę o to iżby przeciwko zamiarom naszego rotmistrza działała, wystawiając mu jak wieleby dwór stracił, gdyby Marya miała dopełnić śluby swoje, i jakaby to szkoda była, gdyby tak powabna dama miała się stać własnością prostego wojaka, któryby jej nawet cenić nie umiał. Hrabia zajął się niezwłocznie wykonaniem danej sobie rady przez Clotomonta, i dobrze umiał korzystać z tej zwłoki, którą król w wypełnieniu próśb Ruszczyca uczynił.

Nazajutrz rano, gdy stosownie do odebranego rozkazu Ruszczyc stawił się u dworu, doniósł mu monarcha, iż królowa, ciekawą będąc poznania go osobiście, chcąc mu sama oświadczyć przychylność swoję ku niemu i ku Maryi, i podać zarazem sposobność widzenia się z narzeczoną, żądała, aby Ruszczyc był jej przedstawiony; w skutku czego wziąwszy go król z sobą poszedł z nim do pokojów królowej. Tam zastali Maryą, ochmistrzynię dworu i brata królowej, która na przedstawienie sobie Ruszczyca przez króla rzekła do niego z pełnym słodyczy uśmiechem:

— Miło mi jest poznać walecznego i wiernego sługę królewskiego, o którym już tyle zaszczytnego słyszałam.

Skłonił się Ruszczyc głęboko, chciał odpowiedzieć na pochlebne wyrazy królowej, lecz gdy spojrzał na bok i spostrzegł Maryą, całym wdziękiem młodości i wykwintnym ubiorem dworskim ozdobioną, brakło mu wyrazów i mimowolnie ku swojej obracając się narzeczonej, dał jej ukłon uprzejmy, pierwej jeszcze jak innym obecnym osobom. Powiększyło to pomieszanie i tak już trudzącem się uczuciem przejętej Maryi zwłaszcza gdy spostrzegła źle ukrywany szyderski uśmiech na ustach brata królowej i Pani de Feud'herbe. Królowa potrafiła utaić wewnętrzne uczucie swoje, i zapobiegając pomięszaniu Ruszczyca, mówiła dalej do niego:

— Król oświadczył mi życzenia WPana względem pospieszenia zawarcia ślubów małżeńskich z Panną Modrzejowską. Nie dziwię się bynajmniej jego tęsknocie, bo umiem cenić przymioty narzeczonej jego; ale dla tego właśnie żałuję mocno, że przyjdzie mi się rozstać z osobą, którejbym chciała dać dowody prawdziwie macierzyńskiej troskliwości.

— Najjaśniejsza Pani! — odpowiedział Ruszczyc, nie mam ja tu nic do żądania, przychodzę tylko jako posłannik opiekunów panny podskarbianki, wynurzyć ich życzenia, a przytem — obracając się uprzejmie ku Maryi — jeżeli na to Jejmość Panna Podskarbianka łaskawie zezwoli, złożyć u stóp jej najżyczliwsze affekta i nadzieje moje.

— Niechże więc — rzekł król, — Panna Modrzejowska otwarcie nam swoje życzenia oświadczy.

— Nim to nastąpi — przerwała królowa — pozwolisz, że ja moje życzenia wynurzę, nie kładąc żadnego obowiązku ani na Pana Ruszczyca, ani na Pannę Modrzejowską, i żadnego z ich strony nie żądając poświęcenia. Nie wątpię bynajmniej że Panna Modrzejowska dotrzyma danych przyrzeczeń i że zechce uszczęśliwić swoją osobą tak godnego i zasłużonego człowieka, jakim jest Pan rotmistrz; lecz czyżby to koniecznie wypadało naglić te związki? czyżby nie można jeszcze odwlec do czasu niejakiego ich zawarcia? Wszakże jeszcze bardzo młodą jest narzeczona, wieleby zyskać mogła przez dłuższy pobyt u dworu, i mnieby miło było dawać jej dłużej dowody mojej szczególnej przychylności i wywdzięczyć jej się poniekąd za usługi, przez jej ojca tak długo królowi świadczone. Zresztą jest to tylko moje życzenie, odwołuję się do chęci osób, które to obchodzi, a mianowicie zapytuję się naprzód ciebie, kochana Panno Modrzejowska, chciej mi otwarcie powiedzieć czego sobie życzysz, ja się niczemu sprzeciwiać nie będę.

Kto wie, coby była odpowiedziała Marya, gdyby jej to zapytanie kilkoma dniami wprzódy

była uczyniła, lecz po wypadkach ostatniego festynu nie miała już tak silnych pobudek do rychłego opuszczenia dworu. Zapowiedziane widzenie się z Ruszczycem i wiadomość o przychylnych ku niemu chęciach, w niemałe wprawiły ją pomięszanie, i stały się powodem wewnętrznej walki wzmagać się zaczynającego uczucia z niedopełnieniem obowiązku. Przywołaną będąc do królowej i domyślając się co ją czeka, potrafiła, po nieco bolesnej dla siebie walce, uzbroić się w taką moc duszy, iż postanowiła poświęcić złudzenia, zbyt może żywej wyobraźni, dopełnieniu danych przyrzeczeń i woli ojcowskiej. .Stanęła ona przed Ruszczycem z ciężkiem sumieniem, jego przybycie do dworu miało zniweczyć najsłodsze jej marzenia; nie dziw zatem, że smutek i pomięszanie malowały się z początku na jej twarzy i że promień nadziei rozjaśnił jej wejrzenie, gdy królowa obstając przy dłuższym jej pobycie na dworze, do zdania jej się w tej mierze powołała. Z żywym rumieńcem na twarzy, ze spuszczonemi skromnie oczami, odpowiedziała na zapytanie królowej: iż polegając zupełnie na jej łasce, wypełni wszelkie jej rozkazy.

— Nie dość na tem — rzekła królowa — większą tu wagę mają życzenia Pana rotmistrza, i lubo się dla mnie powolną być okazujesz, nie wezmę ci tego bynajmniej za złe, gdy po oświadczeniu zdania jego więcej się do jego życzeń skłonisz: dla tego udaję się z prośbą do Waszmości, Panie rotmistrzu, i zostawiam to zupełnie jego woli: czy zechcesz jeszcze na czas niejaki odwlec spełnienie szczęścia twego. Lecz wyznaję szczerze, iżby mi bardzo przykro było rozstać się w krótce z Panną Modrzejowską, która jest tak pilną w dokonaniu obowiązków swoich, i której usługi wielceby mi były pożądane, zwłaszcza w podróżach jakie mam przed sobą.

Stał jak wryty Ruszczyc; poglądał na króla jakby się od niego rady i pomocy w ciężkim razie spodziewał; spojrzał na Maryą, która pilnie unikała spotkać jego wejrzenia, ażeby w jej oczach radości nie wyczytał. Nakoniec, nie widząc znikąd pomocy, rzekł z największem pomięszaniem:

— Ja nawykłem pełnić rozkazy monarsze; zdaję się zupełnie na łaskę W. K. M., zresztą zostawiam to wszystko do woli Jejmość Panny podskarbianki.

— Kiedy tak rzekł król — rozkażę odpisać opiekunom Panny Modrzejowskiej, na list któryś mi rotmistrzu, doręczył, z oświadczeniem waszej woli. Bardzo rad jestem iż rzecz ta taki obrot wzięła, gdyż wczesny odjazd Panny podskarbianki miałby pozór jakiejś niełaski z naszej strony, gdy przeciwnie ja i królowa dowody ciągłej przychylności wam obojgu dawać chcemy.

— Dziękuję ci, mój panie rotmistrzu — dodała królowa — za powolność twoję, możesz być pewien zawsze względów moich. Z macierzyńską troskliwością pielęgnować będę przyszłą małżonkę twoję, i ponieważ król ma właśnie przedsięwziąść nową wyprawę wojenną, miło nam będzie, po jej skończeniu i tryumfy i wesela razem obchodzić.

To rzekłszy, powstała z miejsca i skłoniła lekko głowę Ruszczycowi, co miało znaczyć, że nie miał czego czekać dłużej. On też skłoniwszy się nizko Królestwu, obejrzawszy się raz jeszcze tęsknie za Maryą, wyszedł z pokoju. Na schodach spotkał dawnego przyjaciela swego koniuszego dworu, Jordana, który rzekł do niego:

— No i cóż? jakże ci się powiodło mój rotmistrzu?

— A dobrze — odpowiedział tenże — król łaskaw, jak zazwyczaj, królowa uprzejma nad wszelkie spodziewanie.

— Więc tedy, na kiedyż wesele?

— Tego jeszcze nie wiem; ale podskarbianka wyładniała i tyle ma powabów, jak rzadko która niewiasta.

— Długoż jeszcze u dworu zabawi?

— I tego nie wiem, alem się nigdy nie spodziewał, żeby królowa Pani miała być uprzedzającą i słodką. Wystaw sobie, że mnie prosiła o to, abym nie naglił zawarcia związków, boby jej przykro było rozstać się z Maryą.

— Rozumiem: a ty co na to?

— Ha, jakże było się oprzeć jej życzeniu; raz że królowa, drugi raz że kobieta.

— Więc przystałeś na wszystko?

— Jakże nie było przystać?

— Czegóż mi więc mówisz że wszystko jak najlepiej poszło?

— Ale kiedy widzisz, mój kochany koniuszy, że królowa była tak nadzwyczajnie uprzejma.....

— Poczciwy stary kolego, znać żeś nigdy nie przebywał na dworze królewskim. Nie masz tu jeszcze nic złego: lepiej nawet z pewnego

względu, że się twój związek nieco odwlecze, Bądź zdrów, później pomówimy o tem z sobą obszerniej.

Zamyślił się nieco nasz rotmistrz, gdy sam pozostał; różne myśli przychodziły mu do głowy. Miłość własna cierpiała na tem: iż go Jordan za omamionego poczytał; zadumał się nad tem, lecz gdy wspomniał na uprzejmość królowej, rzekł sobie:

— Nie, to jednak dobra jest Pani — i zaspokojony wrócił do domu.

Chciał on czas niejaki zabawić w Krakowie i znaleść sposobność zbliżenia się więcej do Maryi, ażeby się przekonać, czyli przymioty jej duszy równie były zajmujące jak powierzchowne wdzięki; lecz taż sama intryga, która zniweczyła zamiary królewskie, potrafiła wymyśleć powód szlachetny nawet do oddalenia Ruszczyca ze stolicy. Król oddał mu dowództwo tej chorągwi hussarskiej, w której dotąd tylko starszeństwo liczył, i wyprawił go z nią razem do Lwowa, zleciwszy mu staranie o dopełnienie brakującego towarzystwa i szeregowych, i to postawienie jej w takim stanie, ażeby do nastąpić mającej wyprawy wołoskiej na wiosnę, do boju w zupełnym komplecie wystąpić mogła.

ROZDZIAŁ X

......................w zamku ognie zgasły
Tylko po wałach i po basztach straże
Powtarzanemi płoszą senność hasły;
Wtem się coś z dala na polu ukaże,
Jakowiś ludzie biegą tu po błoniach,
A gałęź cieniu za każdym się czerni,
A biegą prędko, muszą być na koniach;
A świecą mocno, muszą być pancerni.
...................zagrzmiała podkowa.
Trzej to rycerze jadą wzdłuż parowa.

Mickiewicz.

Poza Dniestrem, niedaleko od Polskiego Kamieńca, wznosi się warownia na górze, której stare mury i baszty przezierają się w spokojnym strumieniu w około górę otaczającym. Za szerokim strumieniem stoją ze wszech stron góry wyższe od warowni, na które póty tylko spokojnie mieszkaniec i obrońca onejże pogląda, póki się działa nieprzyjacielskie na ich wierzchołkach nie okażą.

Już była zawitała wiosna po pamiętnej wyprawie wiedeńskiej następująca, a jeszcze znak księżyca na Jazłowieckim zamku panował. Spokojnie podpływały pod mury warowni statki żywnością ładowne, pasły się trzody po otaczających górach, bez obawy zbliżali się do zamku okoliczni mieszkańcy, i w nocy tylko słychać było odgłosy czar na wierzchołkach gór okolicznych dla bezpieczeństwa zamku czuwających, a echo ociszonej okolicy roznosiły po skałach i murach zamku odgłos tych żołnierskich okrzyków.

Gdy się bujniejszą trawą doliny i wzgórza pokryły, pierzchnęli pasterze z trzodami ze wszystkich gór zamkowi przyległych; w nocy tylko przesuwał się po nurtach statek, zasiłek załodze zamkowej dostarczający; ognie trwogi widziano na wierzchołkach gór, gdzie dawniej bezpiecznie czaty czuwały. Pościągano je wszystkie do zamku, zaparto bramy onegóż, podwojono straż na wałach i nikt już nie śmiał się zbliżać do warowni, bo zapowiedziana od Polski wyprawa wojenna trwogę i nadzieję do chat wieśniaczych roznosiła.

Od północnej strony ujrzano z warowni proporce polskie na wierzchołku góry, a krzyk trwogi i baczności zwołał całą załogę na wały. Niedługo i na drugiej górze nowych ujrzano nieprzyjaciół a w miejscu, z którego wszystkie obroty wojenne, przy zdobyciu zamku odbywać się mające, widzieć można było, spostrzeżono później rozpięte namioty, których okazałość miejsce pobytu króla oznaczała, a do których żaden wystrzał warowni dosięgnąć nie mógł.

Już wojska polskie zajęły wszystkie miejsca do zamku Jazłowieckiego dostępne; wznosiły się szańce na najbliższej górze, w miejscu panującem nad warownią, a wystrzały Turków próżnym tylko hałasem całą straszyły okolicę, bo robocie kopiących przeszkodzić nie zdołały. Wszędzie się snuli żołnierze polscy i odwykłe już do nich echo, powtarzało śpiewki i hasła polskie.

W kilka dni po pierwszem pokazaniu się wojsk oblegających, sto wystrzałów z szańców polskich oznajmiło przybycie królewskie i ostatnią trwogą obleżeńców przejęło. Odtąd widziano ruch nadzwyczajny w miejscu, gdzie namioty królewskie stały, i zamiast wrzawy wojennej, dochodziły do truchlejących obleżeńców odgłosy hucznej muzyki, więcej wesele i biesiady, jak śmierć i zniszczenie zapowiadającej. Niezwykłym bowiem obyczajem, zajmowały niewiasty

obóz polski. Królowa towarzyszyła małżonkowi swemu w tej wyprawie i prowadząc z sobą dwór liczny, z damami dworskiemi kilka namiotów naprzeciw warowni zajęła. Posłowie od zagranicznych mocarstw przysłani, przybyli za królem do tego obozu. Hrabiowie Montecuculli od dworu hiszpańskiego, Wallenstein od austryackiego, i Angelo Morozoni od Rzeczypospolitej Weneckiej, posłanniki, uświetniali bytnością swoją ten wojenny pobyt monarchów i zamieniali w miejsce rozrywek i biesiady tę osadę, śmiercią i zniszczeniem zamkowi grozić mającą.

Już trzy dni upływały na zabawach i wesołości; starzy wojownicy utyskiwali nad nieczynnością swoją i nad czasem marnie przy tak nieznacznej warowni traconym; a między tymi dał się słyszeć najgłośniej nasz Ruszczyc, który pałał chęcią dania dowodów swojej waleczności na czele chorągwi nie dawno pod jego dowództwo oddanej.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

RÓŻA Z TANENBERGU.

POWIEŚĆ STAROŻYTNA

PRZEZ

X. KANONIKA SZMIDTA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XV.

Szlachetny sposób myślenia.

Tymczasem przyniosła Tekla oswobodzone dziecię do matki. W tym właśnie momencie nie czuła swej słabości matka uszczęśliwiona wyswobodzeniem syna; pochwyciła go w objęcia swoje, oblała łzami radości i mało sto razy pytała, czy nie jest w czem uszkodzony, nie czuje jakiego bólu. Ale chłopczyk był bez wszelkiego szwanku, tylko mocno pobladł, a to ze strachu, który go znaczny czas trapił. Upewniwszy się o tem i widząc oczywistą łaskę Boga, padła na kolana i rzekła:

— Tyś go o Boże ocalił, na Twoją chwałę go też poświęcam.

Powstała i osłabiona na siłach poprzedniemi tak sobie przeciwnemi wzruszeniami, siadła na łóżku i po macierzyńsku nakarcała syna.

— Widzisz, jak mnie to mocno zmartwiłeś i siebie podałeś w oczywiste niebezpieczeństwo przez twoją lekkomyślność. Jakże ja to często przestrzegałam cię, żebyś studni unikał, między końmi się nie słaniał, na drzewa się nie skrobał; a na te przestrogi nie uważasz, takie nieposłuszeństo o mało ci oto życia nie odebrało. Cóżby to ojciec mówił, gdyby powróciwszy do-

wiedział się, w jak szkaradny sposób syna stracił. Bądźże odtąd posłuszniejszy i skromniejszy, nie zapomnij tego coś wycierpiał wisząc w studni. Cudem właśnie jesteś wyswobodzony, bądźże przeto wdzięczny Bogu, że cię kazał strzedz swoim aniołom.

— Ale gdzież jest ten anioł, który moje dziecię wydobył ze studni? gdzie, mówię, ta węglarzówna, to dobre dziecko co siebie wystawiło na niebezpieczeństwo? Tekla! szukaj jej, i powiedz, aby do mnie przyszła, ten czyn nie może bowiem zostać bez nagrody.

Tekla pospieszyła do pomieszkania dozorcy; znalazła Różę siedzącą przy łóżku chorego dziecka, zajętą pończoszkową robotą.

— Różo, pani moja żąda, żebyś natychmiast do niej przyszła. Ciesz się, dostaniesz pewnie dobrą nagrodę!

— Jeżeli o nagrodę idzie, — odrzekła Róża, — nie ciągnie mnie ochota do zamku, bo to co uczyniłam, nie było w chęci zyskania nagrody.

Nie miała więc chęci pójść, lecz rozważywszy sobie, że to będzie z jej strony niegrzecznie, gdyby wezwaniu pani zamku zadość nie uczyniła, udała się za Teklą. Skoro weszła do pokoju, w którym obok śpiącego chłopczyka siedziała pani, powstała i pobiegłszy do Róży uścisnęła ją serdecznie, mówiąc:

— O moja dobra córko! ile ja ci to winnam wdzięczności za tak szlachetny czyn który wykonałaś! Żeby nie ty, moje dziecko, które teraz smacznie śpi, leżałoby już nieżywe w głębi studni, ale tyś go wydarła śmierci i darowałaś mi go; odtąd masz być uważana jak moja własna córka i we mnie znajdziesz zawsze czułą matkę. Odtąd zostaniesz przy mnie na zawsze. Zaś ciebie Teklo! dłużej w służbie trzymać nie mogę, boś twojego obowiązku, który jest aby dać pilne baczenie na dzieci, nie dopełniła; przez zaniedbanie powinności, która ci świętą być powinna, o mało nie stałaś się zabójczynią dziecka. Dziś jeszcze obrachuję się z tobą, a jutro opuścisz służbę.

Tekla przerażona tą odezwą pani, padła jej do nóg i z płaczem prosiła o przebaczenie, dodając, że biedna sierota nie wie gdzie się udać i przyrzekła się poprawić.

Na to odpowiedziała pani:

— Ja się na ciebie spuścić nie mogę, zwłaszcza że takie przyrzeczenia już kilkakrotnie czyniłaś, a przecież zawsze byłaś niebaczną. Jest mi to bardzo przykro, że twemu życzeniu nie dogadzam, ale darmo: ja moje dzieci muszę pod lepszy oddać dozór. Idź więc, a sprawuj się w innej służbie baczniej i sumienniej.

Róży była ta scena bardzo nieprzyjemną, odezwała się przeto w ten sposób:

— Łaskawa pani, nie bierz mi tego za złe, że przemówię za tą biedną dziewczyną. Prawda jest, że Tekla duży błąd popełniła, przez swoją lekkomyślność spowodowała pani ogromne zmartwienie, zraniła dużo serce macierzyńskie i stałaby się dzieciobójczynią. Wszakże ja myślę, że ten okropny przypadek uczyni na niej wrażenie na całe życie trwałe, i zrobi ją nierównie baczniejszą. A potem, jeżeli zbłądziła, czy też nie starała się wiernie błędu swego naprawić? Pani byłaś przytomną i uważałaś z jak wielką gorliwością pracowała około wydźwignienia dziecięcia? Ja sama nie byłabym zdolną tego dokazać, ale jej pomoc przyłożyła się znakomicie do tego. Zechciej pani łaskawie obok błędu postawić i zasługę, a pewnie zlitujesz się nad biedną sierotą u nóg twoich miłosierdzia żebrzącą. Oto pani! Bóg twoją modlitwę wysłuchał, nie zamykaj i ty serca dla żebrzącej u nóg twoich. Bóg okazał ci swoje miłosierdzie, wyświadcz i ty takowe bliźnim. Bóg darował ci twoje lube dziecię, nie bierzże matki ubogiej sierocie. Bóg odpuszcza skruszonym grzesznikom winy, odpuść takowe i ty. Pani! oto Bóg daje ci tu sposobność do wykonania winnej wdzięczności, nie omijaj jej, daruj Tekli i przyjm ją napowrót do łaski. Ach; ja nie myślę, żebyś pani, której zaledwo oschły łzy radości, łzy wdzięczności, mogła zimno znieść łzy smutku na twarzy biednego dziewczęcia, któreś twą wycisnęła sprawiedliwością. — Co się mnie dotycze, w tem położeniu rzeczy, nie mogę przyjąć ofiarowanego mi miejsca, bobym to sobie miała za duży grzech, gdybym biedną dziewczynę podeszła i moje szczęście na jej nieszczęściu zbudowała.

Podczas gdy Róża tak prawiła, podziwiała pani taki sposób myślenia i taką wymowę mniemanej węglarzówny!

— W rzeczy samej, mówiła, nie wiem co w tobie więcej podziwiać, czy twoją odwagę, czy wspaniałomyślność! — któżby mógł się oprzeć takiej pośredniczce? Nie, Tekla nie straci swej służby, ale i ty zostaniesz przy mnie. Ja cie-

bie, szczególniejsza dziewczyno nie puszczę od siebie. Wynagrodzić cię podług twych zasług nie jestem w stanie, ale bądź moją przyjaciołką, na twojem szlachetnem sercu wiele mi zależy. Idź, wypowiedz służbę dotychczasową i wracaj, abym cię stosownie przybrała.

Łagodność i grzeczność z jaką się pani obchodziła, jej przebaczenie błędu niebacznej słudze, tak zobowiązało serce Róży, że uczuła dla niej prawdziwe uszanowanie, i byłaby może ofiarowane sobie miejsce przyjęła, ale wspomniała sobie na ojca, któremu nie mogłaby była w swojem nowem położeniu służyć; przyszedlszy zapewne w inne ręce, dalekie od serca córki; — a wyznać pani czem jest w istocie, nie zdało jej się bez rady ojca. Przeto wynurzyła myśl swą w sposób następujący:

— Łaskawa pani lubo ja uznaję wielką twoją dobroć i znakomite moje szczęście w tem, że mnie chcesz przyjąć w swoją opiekę, wszakże gdy wezmę na uwagę, iż lepiej nie uganiać się za nagrodą doczesną za dobre czyny, bo zostanie nam natenczas całkowita nagroda nieba; — potem, że to z mej strony nie byłoby dobrze, gdybym służbę, z której zupełnie jestem kontenta, miała opuszczać przed upłynionem czasem, na który się zgodziłam; dalej, że to nie stan uszlachetnia lub upadla człowieka, ale jego w nim zachowanie się; nareszcie że jako służąca dozorcy więźniów, mam tysiąc sposobności przysłużenia się nieszczęśliwym, przeto muszę panią pokornie upraszać, żebyś mnie pozostawiła w mojem obecnem położeniu.

— Szczególna dziewczyno! ja ciebie zupełnie nie pojmuję. Miałabyś ty istotnie być szczęśliwą w stanie służebniczym, jako wolnym od wszelkich obowiązków służebnej? — O, to coś zakrawa na historyą Tobiasza z Rafaelem archaniołem! Powiedzże sama, czem ci służyć mogę, a przyrzekam ci na wszystko, że cokolwiek w mocy mojej będzie otrzymasz.

— Gdy pani tak łaskawą jesteś, przedstawię dwie prośby; pierwszą jest, pozwól mi czasu do namysłu i zostaw mnie w mojem ukryciu, aż się namyślę o co nam prosić. Drugą istotnę prośbę przedstawię później namyśliwszy się, może wkrótce zdarzy się sposobność, że mnie zdołasz uczynić najszczęśliwszą z ludzi. Tymczasem nie miej mnie w żadnem podejrzeniu i pozwól, że wrócę do moich obowiązków.

Skłoniła się i wyszła.

ROZDZIAŁ XVI.

Wykrywa się istotny stan Róży.

Pani zamku Fychtenberskiego, Hildegarda, odznaczała się szlachetnością serca i oświeceniem umysłu, umiała przeto ocenić wspaniałość umysłu naszej bohaterki, czuła dla niej najszczerszą przychylność i pragnęła usilnie uszczęśliwić ją, ale nie mogła pojąć jej wzięcia i widziała w całem jej postępowaniu coś tajemniczego. Wsparła swą głowę na ręku i dumała sobie w ten sposób:

— Zkądże to ta niby uboga węglarzówna mogła naczerpać tej szlachetności umysłu i tego uprzejmego wysłowienia się? Zkąd jej ten układ z jakim weszła na pokoje, a z jakim się podczas całej rozmowy ze mną brała? Niewidać było w niej najmniejszej nieśmiałości w rozmowie ze mną, — właśnie jak gdyby jej nic nowego nie było obcować z wyższymi stanami, jak gdyby była najtroskliwiej w znakomitej familii wychowana. Jakto ona do rzeczy dobitnie, w myślach wzniosłych mówiła za Teklą. Nie, to jej wystąpienie, jest mi nierównie większą tajemnicą, jak owa przytomność, odwaga i heroizm, z jakim wybawiła syna mego. — A cóżby to mogło być powodem, że nie chce być obok mnie, choćby tu nierównie lepiej miała, jak będąc sługą dororczyni? — W tem musi zachodzić jakiś interes. Czyby ona chodziła krzywemi drogami? Czyby pokrywała jakąś tajemnicę, która odkryta hańbiłaby ją? — To się nie zdaje. Dla przekonania, trzeba ją podstrzegać.

Wskutek takowego namyślenia, przywołała do siebie burgrabię zamkowego i nakazała mu, ażeby dawał pilne ale ostrożne baczenie na postępowanie Róży, z zastrzeżeniem przecież, że ona źle o niej nie sądzi. I gdyby coś spostrzegł coby mu się nie podobało nie pozwalał sobie strofować, tylko wiernie doniósł.

Rozkazy swej pani ściśle dopełniał starzec, ale sprawozdania jego były zawsze na stronę Róży. Po kilku przecież dniach, przybył z rana przerażony z doniesieniem, że Róża późno w nocy, gdy wszystko w zamku spoczywa, odwiedza uwięzionego rycerza i u niego kilka godzin bawi.

— Rzecz ta, dodał, jest mi bardzo podejrzaną i niebezpieczną; gdyby ta dziewczyna przy-

łożyła się do ucieczki więźnia, zwaliłoby to na nas nie małą odpowiedzialność przed panem naszym, — a na odwadze, przezorności do tego celu potrzebnej, sądzę iż jej nie zbywa. Z tem wszystkiem nie chcę utrzymywać, jakoby się do ucieczki namawiali; nadstawiałem wprawdzie ucha przy drzwiach więzienia, ale słyszałem tylko niezrozumiałe szepty, boćto człowiek już przygłuchy, kto inny z lepszym słuchem możeby ich podsłuchał, o czem rozmawiają.

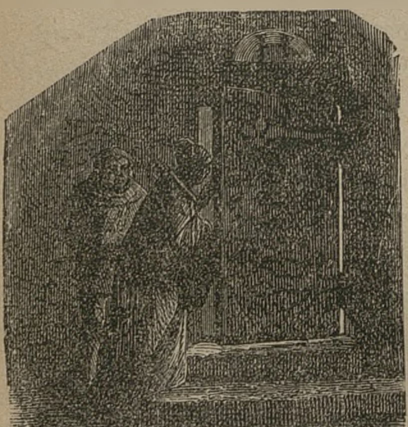
— O, dla Boga! — Edelbert, ten więzień o którym mówisz, jest naszym najgłówniejszym nieprzyjacielem. To mi zaręczył po kilkakrotnie mój mąż, z powodu gdym go prosiła, aby miał wzgląd na tego rycerza i ulżył mu w jego niewoli. O, bardzo wiele złego powiadał mi o nim, że wątpić nie można, że jest naszym zaciętym nieprzyjacielem. Że ta obca dziewczyna z takim naszym nieprzyjacielem przestaje, to mi się niepodoba, radabym ja sama ich podsłuchać, o czem też oni rozprawiają.

Rozkazała przeto burgrabiemu, aby upilnował, gdy Róża będzie u Edelberta i natychmiast jej dał wiadomość, ale do nikogo nic o tem nie mówił. Mimo to przecież dla Róży była zawsze grzeczną i obdarzała ją podarunkami.

W kilka dni potem wpada burgrabia do pokoju nocną porą i rzecze:

— Teraz są pospołu, proszę W. pani.

Hildegarda zarzuciła na siebie jedwabny płaszcz i pospieszyła cichutko za nim do drzwi więzienia. W drodze myślała sobie: nie jest ci to co ja przedsiębiorę pochwały godnem, podsłuchiwanie ma coś w sobie podłego i nagannego; aleć ja to nie czynię w złym zamiarze, owszem dla dobra tego dziewczęcia i żeby usunąć możebne nieszczęście od mojej familii. Drzwi więzienia były tylko przymknięte, wewnątrz paliła się lampa, każde słówko można było dobrze zrozumieć; Hildegarda przysunęła się cichaczem do drzwi i słyszała następującą rozmowę między Edelbertem i Różą.



— Doskonałe brzoskwinie! Jest to właśnie ten sam gatunek, któryśmy mieli w naszym ogrodzie przy wieży zamkowej. Były mi zawsze najmilszym owocem: dla oka przyjemne, żółciutkie, jakby obwinięte czerwonością, zapach ujmujący, obfite w sok, smak delikatny.

— Ach mój Boże! mnie się łzy dobywają z oczu, gdy na ten owoc spojrzę. Oby też ten czas kiedyś wrócił, iżbym ci drogi ojcze mogła z naszego zamkowego drzewa przynosić jak niegdyś, tego owocu, To jest tylko darowizna.

— Dziękuj Bogu moja córko, że mi i tę darowiznę, którą mnie tak uraczyłaś przynieść możesz. Mówisz, że drzewo zaledwie dziesięć brzoskwin urodziło, a trzy z tych dała ci ta pani? — Widzisz jak ona ci jest dobra; — wszakżem ci powiadał, że ma serce piękne i umysł niepospolicie wykształcony.

— Dla tego też ja sądzę, iż jej się odkryć można; w jej sercu będzie najlepiej tajemnica dochowana, i ona będzie zdolna działać na umysł Kunerycha, żeby cię ojcze uwolnił.

— Ja tak moja kochana nie sądzę. Ty nie wystawiasz sobie jak on mnie nienawidzi! — Ale to tak, że zacna jego małżonka nie zdoła przełamać jego oporu.

— Ale przecież gdy Kunerych się dowie, że twoja córka przy Bozkiej pomocy wyratowała z oczywistego niebezpieczeństwa jego syna jedynaka, gdy to córka ze łzami u nóg jego żebrać będzie twej wolności to go pewnie zmiękczy.

— Próżna nadzieja! ja go znam za nadto dobrze że bym dzielił twoje przekonanie. Przypuszczam że twój czyn pochwali, podziwiać będzie, pomyśli stać ci się wdzięcznym, ale zawziętości swej nie pofolguje, bo złość jego za nadto wkorzeniona. Wierz mi: iżbyś snadniej dąb z korzeniami zdołała wyrwać z ziemi, jak z serca Kunerycha nienawiść.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

ZDRADZIECKI SŁUGA.

(Dokończenie).

To usłyszał chłopiec, mający już wówczas lat dwanaście, podsłuchując pode drzwiami, i tak się dowiedział, jakiego jest pochodzenia i co za dar cudowny posiada. Cieszyło go to bardzo, że ktoś inny jest jego ojcem, a nie ten, który go często tak nielitościwie dręczył, i postanowił go ukarać tak jak zasłużył. Za pomocą swego daru, przez który każde jego życzenie się ziściło, zamienił niewiernego sługę w czarnego psa i udał się z nim w drogę, by swego ojczystego zamku odszukać.

Długo chodził po świecie, nie mogąc się dopytać miejsca swego urodzenia. Nie przyszło mu na myśl, że tylko mu chcieć się należało, by cel osięgnąć; bo któryż chłopiec w jego wieku ma rozum dostateczny! Wymyślił jednak taki sposób, że w każdej gospodzie gdzie jadał albo nocował, psu swemu na pożywienie wiorów dać kazał, a gdy się gospodarz dziwił, że pies ma jeść wiory, odpowiadał:

Mogła matka zjeść swe dziecię,
Może pies jeść wiory przecie!

Po długiej wędrówce przybył wreszcie nad szeroką i bystrą rzekę, przez którą wspaniały prowadził most. Na końcu mostu stała nowozbudowana gospoda, w której chłopiec strudzony podróżą, zatrzymał się. Tu kazał sobie bogatą zgotować ucztę, psu zaś swemu kazał dać wiorów, a gdy się gospodarz zdziwił, że pies ma jeść wiory, odpowiedział jak zwykle:

Mogła matka zjeść swe dziecię,
Może pies jeść wiory przecie!

— Ej! — rzekł gospodarz — to się zdarzyło przed dwunastu laty w poblizkim zamku, że matka zjadła swe dziecię, poczem ją mąż w gniewie zabił i potem zniknął i nikt nie wie, gdzie się podział. Służyłem wówczas w zamku, i wszystkich zdarzenie to zadziwiało. Matkę pochowano z powodu jej zbrodni na nieświęconem miejscu; lecz cóż ta nieszczęśliwa była winna? Toć jej to już przed narodzeniem dziecka było przepowiedziano!

Radośnie słuchał chłopiec tych słów, bo one mu odkryły, że tu jest jego ojczyste siedlisko. Kazał się do grobu matki zaprowadzić, padł na kolana i gorzkie łzy wylewał.

— Ach gdybyś ty tak była przy życiu, nieszczęśliwa matko, której nie znałem, i któraś tak niewinnie cierpiała! — zawołał w wezbranem uczuciu.

I oto otwiera się ziemia i z grobu wychodzi nadobna postać niewiasty, przyciska chłopca do piersi i nazywa go synem.

Chłopiec sam nie wiedząc, że wyrzeczonem przez siebie życzeniem matkę swą do życia przywołał, stał jakby bez zmysłów, nie mogąc pojąć co się dzieje. Przyszedłszy do siebie, tkliwie matkę uścisnął i zatonął w swem szczęściu.

— Ach, gdyby tu był i ojciec i rozkosz naszę podzielał! — zawołał potem.

I niebawem stanął przed nimi mąż okazałego wzrostu i dobrotliwego spojrzenia, tylko że tęsknota jak chmurą oblicze jego powlokła. Był to chłopca ojciec, który nie wiedząc o życiu dziecięcia swego, z żałości po popełnionem morderstwie błądził po świecie nie znajdując nigdzie spokoju. Teraz mu się wszystko wyjaśniło i niewypowiedzianą była radość tych na-

der szczęśliwych ludzi. Powrócili oni do swego zamku, który życzeniem syna natychmiast przywrócony został do dawnego stanu i rozpoczęli całkiem nowe życie.

Zdradzieckiego sługę zamienił syn znowu w człowieka, poczem na mocy sądowego wyroku żywcem końmi rozszarpany został.

Ojciec stał się znowu dobroczyńcą swych bliźnich, aż go po wielu latach śmierć zabrała; syn zaś idąc za przykładem tak szlachetnego ojca, udzielonego sobie daru tylko na dobro innych używał, i pozostawił po sobie błogie wspomnienie.

(Koniec.)

Anioł Pański.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

— PRZEZ —

BAKAŁARZA Z LWIGRODU.

(Ciąg dalszy.)

Tu wojsko z huczną muzyką, w takcie maszeruje ściśniętą gęstą kolumną, a dowódzcy i oficerowie krzyczą przeraźliwie, komenderując że aż w uszach zalega; — tam śliczny błyszczący pojazd z czwórką ognistych koni z łoskotem pędzi ulicą, tłukąc kołami twarde kamienie bruku, tak że aż iskry pryskają; — tam dalej znów ogromna katrynka z bębnami i trąbami głośno wygrywa skoczne tańce, a około kilka małp pląsa na grzbietach cierpliwych kądli i niedźwiedź niezgraba z kagańcem na pysku, na komendę swego pana ociężale i pomrukując sobie skacze i tańczy ku wielkiej pociesze przyglądającej się gawiedzi; — tam znów powolnie toczy się cały szereg nizkich wózków ciężko towarami opakowanych z takim łoskotem, jakby całą bateryą armat przeprowadzano; — tu pomnik taki, tam wodotrysk, z którego bez przerwy woda strumieniem się leje; — tam znów kosztowne a gustowne wystawy kupieckie ściągają na się uwagę Kazimierza, — zgoła ledwo sobie oczu nie wypatrzył oglądając się na wszystkie strony i podziwiając te wszystkie wspaniałości i piękności dotąd niewidziane w życiu.

Nareszcie ojciec poleciwszy go opiece pana Karola, jednego z najznakomitszych tokarzy w Warszawie, i dawszy Kazimierzowi ostatnie przestrogi i błogosławieństwo ojcowskie, wyjechał z powrotem ku domowi.

W pierwszej chwili po jego wyjeździe Kazimierzowi bardzo żal się zrobiło; nie mając nikogo znajomego w całej Warszawie, wyrwany naraz z kółka rodzinnego i jakby przerzucony naraz między obcych ludzi, czuł się osamotnionym, opuszczonym i roztęsknił się bardzo za matką, ojcem, za swą Jadwisią i małym Tadeuszkiem. Co chwilę wzdychał, mimowoli łzy mu się z oczu puszczały.

Pan Karol tedy, człowiek bardzo zacny i czułego serca, widząc że żadne słowa ani perswazye nic tu nie pomogą, zaproponował chłopcu, żeby dla roztargnienia się obejrzał sobie dokła-

dniej Warszawę i jej osobliwości; dał mu nawet parę dni wolnych do tego. Kazimierz z chęcią na to przystał i niezwłocznie wybrał się do miasta.

Kiedy z ojcem chodził po Warszawie, trzymając się jego boku, był pewien, że nigdzie nie zabłądzi, ale teraz, kiedy sam się miał zapuścić w ten odmęt krzyżujących się ulic, uliczek i zaułków, należało przedsięwziąść pewne środki ostrożności, aby nie zginąć, jak w gęstym lesie. Naprzód więc spamiętał sobie dobrze nazwę ulicy i liczbę domu, w którym pan Karol mieszkał, aby w razie zabłąkania mógł się dopytać ludzi o jego pomieszkanie. Potem obejrzał sobie dokładnie sąsiednie i przeciwległe kamienice w tej samej ulicy; wybiegł to na prawo to na lewo, ale tylko tak daleko zawsze, że nie stracił z oczu swego mieszkania. Potem dopiero odważył się zapuścić w boczną ulicę, z tej w drugą, — tu znów uważał sobie dobrze kościół, koło którego przechodził, i doszedł tak aż do ogrodu Saskiego, leżącego prawie w środku Warszawy i służącego za miejsce przechadzki i zabawy. Tu się zatrzymał, obejrzał, zauważył dobrze ulicę, którą się dostał do tego ogrodu, obszedł go sobie naokoło i potem tą samą drogą, którą przyszedł, wrócił napowrót do domu, ani razu się nie zmyliwszy. Pierwsza więc ta wycieczka udała mu się wybornie, co go niezmiernie ucieszyło.

Przedsięwziął potem podobną wyprawę w innym kierunku, w którym doszedł do Wisły, potem ku Powązkom, ku cytadeli, — i tak manewrując mądrze, jakby jenerał jaki objeżdżający pole, na którem ma bitwę stoczyć, albo jako lis przebiegły krążący na około swej nory, aby wywietrzyć zdobycz albo zasadzkę na siebie zastawioną. W przeciągu pierwszego dnia doskonale umiał się już zoryentować w całej Warszawie, a jak początkowo ledwo o kilka kroków odważył się oddalać od kamienicy swego pryncypała, tak teraz po tych manewrach swoich śmiało puszczał się w ostatnie zaułki i bezpiecznie z nich wracał do swego ogniska.

Po takiem przygotowaniu nazajutrz wyszedł sobie już śmiało nad Wisłę, a ztamtąd na Pragę, leżącą po drugiej stronie Wisły i stanowiącą niejako przedmieście Warszawy. Przypatrywał się temu miasteczku z wielkiem zajęciem, bo chociaż ani tak bogate, ani tak wielkie jak Warszawa, było ono przecież bardzo zajmującem dla Kazimierza, dla tego, że nie tak jeszcze dawno temu strasznej doznało klęski. Było to po nieszczęsnym upadku dzielnego Kościuszki. Srogi jenerał moskiewski Suwarów zdobył szturmem to miasto, dawniej o wiele większe i ludniejsze niż dzisiaj; i do dwudziestu tysięcy mieszkańców bez względu na to, czy to kobiety czy starcy, czy niemowlęta, kazał bez litości wymordować. Kazimierzowi aż serce drżało, kiedy chodząc po ulicach tej podupadłej dziś mieściny przypomniał sobie, jak to niezbyt temu dawno temi samemi ulicami rozjuszone żołdactwo krzycząc i wyjąc brodziło we krwi bezbronnych mieszkańców, których trupy stosami zalegały ulice! Dziwiło tylko Kazimierza, że po tak okropnej rzezi, że po takiem spustoszeniu dziś już ani śladu prawie nie mógł dopatrzeć w całej Pradze, — aleć to, pomyślał sobie, czas i najgłębszą ranę zagoi, czas powoli zatrze ślad najsroższego spustoszenia!

Z Pragi wróciwszy do Warszawy zamyślony i rozrzewniony, przechodził koło kościoła Panny Maryi na Nowem Mieście, założonego jeszcze przez książąt mazowieckich.

Wstąpił do niego. Wnętrze jego nie jest tak okazałe jak w innych kościołach warszawskich, ale starożytne mury przypominały mu dawne, lepsze czasy. Kilka pobożnych osób modliło się... i on padł na kolana, i szczere wzniósł modły do Matki Bozkiej, opiekunki i królowej naszej. Klęczał dlugo i prosił, by mu Bóg raczył udzielić sił i wytrwałości w nowym jego zawodzie, — modlił się i za rodziców, za siostrę i brata, modlił się za rodaków i drogą ojczyznę. Wstał pokrzepiony, rzeźwiejszy i weselszy, i wyszedł z kościoła.... a ponieważ jeszcze miał nieco czasu, więc przeszedł się po mieście. Tłum ludzi tłoczących się i krzyczących, turkot wozów i karet, wystawy przepysznych sklepów, wszystko już teraz mniejsze niż z początku czyniło na nim wrażenie. Przeniósł on się duszą w przeszłość, i zajęty był tylko wspomnieniem dawnych czasów, kiedy to królowie Polscy temi przejeżdżali się ulicami, a jak Polska cała, tak i Warszawa wolności i swobody używała.

Takiemi myślami zajęty przyszedł na plac Zygmunta. Tu spostrzegł wzniesioną kolumnę wysoką, a na niej posąg króla polskiego Zygmunta Trzeciego; i znowu przeszły mu przez

myśl dzieje owych czasów świetnych, kiedy to Zygmunt u nas królował.

Dalej idąc zobaczył posąg Mikołaja Kopernika, tego sławnego astronoma czyli gwiaździarza, który spostrzegł i pierwszy dowiódł że słońce stoi, a ziemia około niego krąży. Na moście niedaleko pałacu Łazienkowskiego ujrzał znów konną statuę Jana Trzeciego, czyli Sobieskiego. Stanął przed nią, zadumał się i pomyślał sobie: Czy też Sobieski dobrze zrobił, iż wyswobodził Wiedeń od Turków? Jak mu się za to wywdzięczono, a co Ojczyzna na tem zyskała, że synowie jej pod Wiedniem krew swą przelewali w obronie Niemców? —. Obejrzał sobie potem sam pałac Łazienkowski, ulubione mieszkanie króla Jana Sobieskiego, z pięknym i obszernym ogrodem, — a wróciwszy znów do miasta, obszedł sobie naokoło i obejrzał z ciekawością i zdumieniem zamek królewski, w którym dawniej królowie Polscy przemieszkiwali, a teraz tylko namiestnicy cara się rozpościerają; pobiegł dalej do pałacu nazwanego: „Pod Blachą", który znany z tego, że był pomieszkaniem sławnego naszego księcia Józefa Poniatowskiego. Zwiedził jeszcze katedrę, kościół św. Krzyża — a nawet zapuścił się za miasto pod cytadelę, gdzie z trwogą i żalem spoglądał na całe rzędy groźnych czarnych dział, wymierzonych na miasto, wyglądających jakoby rzędy kłów żarłocznego wilka czychającego na zdobycz.

Na ten dzień Kazimierz już miał dosyć; znużony całodziennem bieganiem po twardym, a miejscami bardzo nierównym bruku, strudzony nadto przyglądaniem się tylu naraz nowym dla siebie rzeczom, powrócił nad wieczorem do domu, zupełnie prawie wyleczony z tęsknoty za domem rodzinnym.

Nazajutrz poszedł Kazimierz z listem księdza Wojciecha do pana Andrzeja. Tu mile przyjęty zastał całą rodzinę w domu; syn najstarszy pana Andrzeja, uczeń szkoły głównej warszawskiej, prawie równy jemu wiekiem, bardzo mu się podobał, więc zawarł z nim ściślejszą znajomość. Ztamtąd udał się do profesora, p. Ignacego, do którego miał także rekomendacyą od swego nauczyciela. Zastał go samego, otoczonego książkami, różnemi narzędziami i machinami fizykalnemi. Aż się oczy Kazimierzowi zaiskrzyły z radości i ciekawości na widok tylu nieznajomych sobie a tak sztucznie zbudowanych rzeczy.

Pan Ignacy przeczytawszy list, rozpoczął z nim rozmowę, z której się przekonał, że Kazimierz wiele już posiadał wiadomości w swoim zawodzie. Polubił go więc natychmiast, wezwał go, aby go często odwiedzał i naznaczył mu pewne dni i godziny, gdzieby bezpłatnie na jego wykłady mógł uczęszczać. — Z radością niewymowną podziękował Kazimierz i pożegnał uczonego, a tak uprzejmego dla siebie męża.

VI.

Tokarnia.

Nazajutrz rozpoczęła się praca Kazimierza w tokarni pana Karola.

Tokarnia jego była to sala długa i szeroka; przy każdem oknie stało toczydło i wszystkie potrzebne do niego narzędzia. Wprowadził go pan Karol i oddał pod opiekę i dozór najzdolniejszego swego robotnika, imieniem Mikołaj. Wszystkich oczy zwróciły się na młodego Kazimierza. Zaczerwienił się skromny młodzieniec i stanął jak wryty, myśląc sobie: ja nic jeszcze prawie nie umiem, a oni umieją już wszystko, są wprawni i wyćwiczeni — jakże ja tu między nimi wydołam!?

Pan Karol odszedł do sklepu, a Mikołaj wyznaczył zaraz Kazimierzowi robotę na próbę.

Westchnął Kazimierz do Boga i zaczął jak umiał. Zafurczało toczydło, posypały się trzaski, wiory i trociny, wszyscy zwrócili oczy na młodzieńca, bo rozumieli, że dostali pomiędzy siebie jakiego nieuka, a on im w okamgnieniu pokazał, że prawie tyle umie, co każdy z pomiędzy nich.

Teraz na nich przyszła kolej zawstydzenia się.

— Co to? — mówili sobie, — przyszedł jakiś młodzik, któremu ledwie że meszek pod nosem porasta, i od razu tak zręcznie się sprawia jak my? A nuże! pokażmy i my, że coś umiemy!

I furknęły toczydła, posypały się trzaski, pryskały kawałki drzewa, rogu i kości, i wszy-

stko pracowało, wszystko spieszyło się na wyścigi. Jeden drugiego chciał przewyższyć w pracy i pilności.

A nie było tak tego tylko jednego dnia, lecz i drugiego i trzeciego i cały tydzień i miesiąc, i już odtąd ciągle na wyścigi pracowali.

Tak to jeden chłopiec, że był do pracy chętny i pilny, pragnąc w swej sztuce się wydoskonalić, przykładem swoim wszystkich i najopieszalszych robotników umiał zachęcić i porwać ze sobą.

Już sam zatem wstęp Kazimierza do tokarni wiele sprawił dobrego; za to i pan Karol coraz to bardziej go lubił i pokochał wreszcie jak własnego syna. Bo też teraz robota w jego tokarni szła żwawo, aż miło; nic zamówionego nie zalegało, wszystko w swoim czasie kończono, a wszystko tak porządnie, tak trwale, dokładnie, kształtnie i mile dla oka, że w całej Warszawie tokarnia pana Karola stała się najsłynniejszą.

Tak rozpoczął Kazimierz swój zawód tokarski, tak i nadal pracował, ćwicząc się w swojej sztuce przez całe dwa lata pobytu w tej tokarni.

W wolnych chwilach odwiedzał Kazimierz pana Ignacego, pana Andrzeja, lub pewnego starego garbarza na Pradze, który był dobrym znajomym jego ojca; uczęszczał w naznaczonych godzinach na wykłady do profesora. Tym sposobem doprowadził do tego, że w krótkim czasie co do wiadomości wszystkich swoich kolegów przewyższył, a w praktyce i pracy zupełnie im dorównał.

Zresztą w chwilach wolnych od pracy, czy to w święto czy w niedzielę lubił rozmawiać z towarzyszami. Byli między nimi tacy, co widzieli obce kraje i umieli niemało ciekawych rzeczy opowiadać o nieznanych u nas zwyczajach i obyczajach cudzoziemskich.

Jeden z nich był we Francyi, a temu było na imię Tomasz; drugi, imieniem Maciej, był w Moskwie, przeszedł Turcyą, Wołoszczyznę, Węgry, był w Wiedniu, a obydwaj umieli wiele rzeczy opowiadać.

Razu jednego, gdy Tomasz opowiadał o Francyi, o Paryżu i innych miastach francuzkich, zapytał go się Kazimierz:

— A byłeś też w mieście Nancy w Lotaryngii?

— Byłem tam, — odrzekł Tomasz — i pracowałem u pewnego chwackiego tokarza. Ej! gdybyście wiedzieli co to za ładne miasto! kamienice wielkie, kościoły wspaniałe; warsztaty i fabryki, jak w naszej Warszawie... a dobrze mi tam płacono!

— Czy więcej nic o tem mieście nie wiesz? — zapytał go znów Kazimierz.

— A cóżby tam jeszcze takiego było? — rzekł na to Tomasz. Znam wszystkie pałace i kościoły, znakomitsze domy, znam wszystkie tamtejsze tokarnie, no i cóż chcecie, żebym jeszcze wiedział?

A Kazimierz mu na to:

— Oj, jest tam jeszcze coś bardzo ważnego! W mieście tem żył nasz król polski Stanisław Leszczyński, gdy przez matactwa obcych dworów utracił tron polski. To też tam w Nancy i w całej Lotaryngii pełno jest po nim pamiątek, a mieszkańcy tameczni do dziś dnia jeszcze z uwielbieniem o nim wspominają. Panował on tam 30 lat, bo miał ono księztwo w dożywociu, a słynął w całej Europie z mądrości, sprawiedliwości i łagodności. Tam w kościele złożone są też jego zwłoki. Polacy przejeżdżając tamtędy odwiedzają te miejsca pobytem jego wsławione, i na obcej ziemi wspominają sobie z chlubą świetne dzieje Ojczyzny.

— Czyś ty tam był? — zapytał go się Tomasz.

— Nie byłem — odrzekł Kazimierz.

— A zkądże to wszystko wiesz?

— Z książki. — Bo widzicie, drodzy towarzysze, nim zostałem tokarzem, byłem wprzód Polakiem, bom się Polakiem urodził. Dla tego to zawsze mię mocno obchodziło to wszystko, co się w naszym kraju działo i dzieje, a nawet co się dziać może, i dla tego też pilnie uczyłem się dziejów polskich. A tak czytając i ucząc się, poznałem też, jakie to wielcy nasi królowie, możni nasi panowie, ba nawet i prości nasi wieśniacy pozostawiali po sobie pamiątki, bądź po różnych stronach naszego kraju, bądź za granicą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

Przed trzecią podróżą zamianowano Columbusa wicekrólem odkrytych krajów; lecz zazdrość innych zdołała go oczernić przed królem i królową tak, iż w kajdanach odesłano go do Hiszpanii. Dopuścił się wprawdzie bezprawia, bo zrobił z krajowców niewolników, co Izabellę przeciw niemu wzburzyło; ponieważ umiał się usprawiedliwić z innych zarzutów, pozwoliła mu podjąć czwartą podróż. Przy powrocie jego nie żyła już królowa i nieprzyjaciele jego posiadali wszelką władzę; a człowiek ten, który zlał tyle blasku i chwały na Hiszpanię — on, który pół świata wcielił do jej posiadłości — poszedł nareszcie w grób, opuszczony i zaniedbany od ludzkości. Umarł w dniu 20 maja 1506 w Valladolid; zwłoki jego przeniesiono później do St. Domingo, ztamtąd do wyspy Cuba, gdzie dzisiaj jeszcze spoczywają.

Nieszczęśliwe nastąpiły czasy dla mieszkańców nowego świata, skoro Europejczycy na nich zwrócili swą uwagę. Na większych wyspach zachodnio-indyjskich założyli Hiszpanie kolonie a ze spokojnych, przyjaznych i szczęśliwych krajowców zrobili niewolników, których dawniejszy raj stał się dla nich prawdziwem piekłem. Hiszpanie obchodzili się z nimi okrutnie i niesłusznie, a niewiasty zmuszali do nieprawych związków, z których powstała dzisiejsza rasa kreolów a którzy obecnie zamieszkują większą część Cuby i innych wysp zachodnio-indyjskich.

Dziwaczna tradycya o okolicach opływających w złoto, ogłaszana przez krajowców a przesadzana jeszcze przez awanturników, wznieciły popędliwość Hiszpanów za bogactwami tak, iż przedsiębrali różne wyprawy z wyspy Cuba, St. Domingo i Porto Rico. W roku 1.506 odkryto wschodnie wybrzeże półwyspu Yucatan, a w r. 1510 założył Nunez de Balboa kolonię na przesmyku Darien. Była to pierwsza kolonia na stałym lądzie amerykańskim. Balboa, szukając złota w r. 1513 przybył do oceanu spokojnego i nazwał go morzem południowem. W imieniu Hiszpanii ogłosił Ferdynanda królem wszystkich krajów, wysp i morza południowego. W r. 1512 została odkryta Florida przez Juana de Leon, gubernatora wyspy Portorico.

Było to w Wielkanoc, 27 marca 1512 r., w święto kwiatów (Pasquas de Flores), jak Hiszpanie dzień ten nazywają, gdy się awanturnicy, którymi Ponce de Leon dowodził, przybliżyli do wielkiego południowego półwyspu, teraz do Stanów Zjednoczonych należącego i niedaleko od dzisiejszego St. Augustine wylądowali. Lasy i zielone wybrzeża były przepełnione kwiatami; dla tego nazwali Hiszpanie kraj ten Florida (krajem kwiatów). Ponce de Leon popłynął wzdłuż wybrzeża aż do wysp Tortugas (wysp żółwiów), poczem się wrócił do Floridy a poźniej na kilka lat wyjechał do Hiszpanii.

Podczas pobytu jego w Hiszpanii wysłała pewna kompania bogatych właścicieli plantacyj i kopalń na wyspie St. Domingo jednego ze swych członków — Lucaza Vasquez d'Ayllon, z dwoma okrętami do wysp Bermudas, aby tam pojmał krajowców i jako niewolników do San Domingo przyprowadził, lecz Bóg ukarał zamiar ten nieludzki. Burza zapędziła Hiszpanów do cieśniny St. Helena, w południowej Carolinie, gdzie po wielu znojach i trudach zarzucili kotwicę. Przyjaźni i dobrotliwi krajowcy uczcili gości i ich chorągiew i nie spodziewając się zdrady, weszli na okręty, aby zadosyćuczynić swej ciekawości; lecz Hiszpanie podnieśli kotwicę i odpłynęli, aby zawieźć wolnych synów lasów jako niewolników do kopalń w St. Domingo. Lecz Odwieczny postanowił inaczej. Jeden z okrętów zatopił się, a na drugim wymarli Indyanie, gdyż wstrzymali się od wszelkiego pokarmu i napoju. Od tego czasu były plemiona Mobile nieprzyjaznemi dla ludzi cery białej.

Wkrótce po podróży D'Ayllona wrócił Ponce

de Leon jako gubernator Floridy z poleceniem założenia kolonii. Rozjątrzeni krajowcy pamiętając o zdradzie Hiszpanów, napadli na niego, ranili go śmiertelnie i wycięli prawie wszystkich jego towarzyszy. D'Ayllon został także nominowany gubernatorem kraju, który był odkrył i nazwal Chicora; przybył więc, aby go podbić. Krajowcy przyjęli go z oznakami przyjaźni, lecz gdy później wielka liczba jego towarzyszów udała się do wioski położonej w wnętrzu kraju, napadli na nich i wycięli do jednego; na naczelnika napadli na własnym jego okręcie. Z wielką biedą uszedł śmierci. Umarl później z ran w San Domingo.

W r. 1517 zrobil inne ważne odkrycie Francisco Fernando de Cordova, który podjąwszy wyprawę z wyspy Cuba, przybył do Meksyku. Sprawozdania jego o narodzie pół-ucywilizowanym, o bogactwach niezmiernych, o wielkich skarbach, wznieciły w piersiach jego ziomków żądzę posiadania tych krajów i już w roku następnym wysłał Velasquez, gubernator Cuby, inną wyprawę pod dowództwem Juana de Grijalvo do Meksyku. Ten wrócił w istocie z wielkiemi skarbami, których był nabył w handlu z Meksykanami. To pobudziło jeszcze bardziej żądzę i ambicyę Valasquez'a, który powziął zamiar podbicia Meksyku i zabrania wszystkich skarbów tam się znajdujących. W tym celu wysłał Ferdynanda Cortez, odważnego, lecz podstępnego człowieka z 11 okrętami i 600 ludźmi. Ten wylądował nasamprzód w Tabasco, a potem pod San Juan de Ulloa w pobliżu Vera Cruz w dniu 12 kwietnia 1519, dokąd Montezuma, cesarz Meksykański przysłał do niego przyjazną deputacyę. Fałsz i podstęp ujednaly Cortezowi pozwoleństwo udania się do stolicy. Przez swą odwagę a zdradę i pomoc krajowców nieprzyjaznych dynastyi meksykańskiej, udało mu się po dwuletniej, krwawej walce podbić cały kraj. W dniu 23 sierpnia poddało się mu miasto Mexico a wielkie i zaludnione cesarstwo Montezumy stało się prowincyą meksykańską.

Tymczasem marzyli Hiszpanie wciąż jeszcze, że w Floridzie znajduje się wiele bogactw. W 7 lat po zdobyciu Meksyku (1528) wypłynął Pamphilio de Narvaez, który miał zostać gubernatorem Floridy, w towarzystwie 300 ludzi z Cuby. Spodziewając się znaleźć kraj bogaty, przebył całą przestrzeń od morza aż do Georgii, lecz zamiast bogactw i wielkich miast, znalazł tylko lud ubogi, mieszkający w szałasach i chatach. Omylony w swych nadziejach i niepokojony przez krajowców, którzy słyszeli o zdradzie Hiszpanów nad rzeką Combahee, zwrócił się na południe i przybył nad zatokę Apalachee, gdzie kazał zbudować pojedyńcze łodzie, na których zamyślał wrócić do wyspy Cuby. On sam i większa część jego towarzyszów zaginęła z wyjątkiem czterech, którzy tułając się przez kilka lat od plemienia do plemienia, przybyli nareszcie do osady hiszpańskiej w Meksyku. Niepowodzenie Narwaeza nie zraziło bynajmniej Hiszpan. Ferdynand de Soto, odważny i bogaty szlachcic, który wraz z Pizzarem w Peruwii się zbogacił, mniemał wciąż, że po za Floridą znajdują się kraje bogate. Za pozwoleństwem króla, który go mianował gubernatorem Cuby i Floridy, urządził wyprawę z własnych zasobów. Na początku r. 1539 wypłynął z 10 okrętami i 600 zbrojnymi ludźmi z Hiszpanii, a zostawiwszy żonę na wyspie Cuba, wylądował w dniu 10 czerwca nad wybrzeżem Tempa zatoki; a odesławszy okręty następnie do Cuby, rozpoczął pochód przez kraj nieprzyjacielski. Przezimował nad rzeką Flint w Georgii, przekroczył w wiośnie góry Apallachian i przebył cały piękny kraj Cherokees'ów.

Wyprawa ta była jedną z najsłynniejszych: De Soto z towarzyszami bowiem przeszedł przez pagórki i doliny Alabamy, nadaremnie szukał za skarbami i walczył z dzikimi Mobilami. Walki i choroby zmniejszyły poczet jego towarzyszy o połowę. Zimę r. 1541 przebyli nad brzegami rzeki Yazoo w kraju Chickasaw'ów. W maju tego samego roku odkryli i przeszli przez rzekę Mississippi (niedaleko dzisiejszego Memphis), gdzie de Soto w obecności przeszło 20,000 Indyan postawił niezmierny drzewniany krzyż. Po dwudniowym odpoczynku udali się w dalszą podróż; następne lato i zimę przebyli nad rzeką Arkansas, a w wiośnie 1542 powrócili do rzeki Mississippi, tam, gdzie Wachita do niej wpada. Tu umarł de Soto, wyznaczywszy poprzednio swego następcę.

Śmierć wodza była straszliwym ciosem dla awanturników. Zrzekli się więc wszelkiej nadziei znalezienia bogactw i starali się dostać do osad hiszpańskich w Mexico. Przez długie miesiące tułali się po preryach, aż przybyli do kraju Comanches'ów, gdzie góry niebotyczne przeszkodziły dalszemu ich pochodowi. Wrócili więc znów do rzeki Mississippi. W pobliżu dzisiejszego Natches pozostali aż do lipca 1543 r. Tu wybudowali kilka łodzi. Przybywszy do zatoki meksykańskiej, byli tak roztropnymi, iż płynęli tylko po nad wybrzeżem. W dniu 20 września przybyła mała garstka pysznej armii De Sota do małej osady hiszpańskiej przy ujściu rzeki Paumo, trzydzieści mil na północ dzisiejszego Tampico. — Było to ostatnie usiłowanie hiszpańskich współczesnych Columbusa badania krajów i zakładania kolonij w obszarze Stanów Zjednoczonych. W tym samym celu przybyli i Anglicy. I tych ostatnich powodowała żądza za złotem do przybycia do tego kraju; zdrada i gwałty były i u nich środkami do dopięcia celu. Nie byli godnymi posiadać przepiękny ten kraj; innym dopiero, którzy później tu przybyli i inne, szlachetniejsze cele, lepsze serca i silniejsze dłonie posiadali, było przeznaczonem, uprawiać rolę i utworzyć wielką rzeczpospolitą, założoną na zasadach prawdy i sprawiedliwości. Hiszpanie wprawdzie stali się

ostatecznie posiedzicielami południowej Ameryki, lecz na owych krajach ciąży jeszcze dzisiaj klątwa moralnego i politycznego despotyzmu.

ROZDZIAŁ III.

Odkrycia angielskie i francuzkie.

Hiszpanie pomimo największej ostrożności nie mogli zataić wiadomości o swych odkryciach krajów złotodajnych. Hiszpania i Portugalia usiłowały nadaremnie zabezpieczyć sobie przywilej żeglugi na oceanie za pomocą papieża. Zazdrość i żądza bogactw zniewalały króli i prywatnych bogaczy w każdym prawie kraju do wysełania ekspedycyi, pomimo groźby Ojca św. i niebezpieczeństw podróży przez ocean. Pomiędzy innymi zajął się tą sprawą także Henryk VII, król angielski, który poprzednio nie chciał słuchać rad Columbusa.

W Bristol w Anglii mieszkał właśnie Sebastyan Cabot, syn bogatego kupca z Wenecyi, który prosił króla, aby mu zezwolił podjąć podróż dla odkrycia krajów pogańskich. Król zezwolił na to pod warunkiem, że Cabot poniesie koszta i że wszystkie kraje odkryte będą własnością króla angielskiego. Cabot zabezpieczył sobie tylko monopol handlu a zamiast cła i podatków, miał królowi oddać piątą część całego zysku.

Pod dowództwem Cabota wypłynęły dwa okręty z portu bristolskiego w maju 1497 r. Płynąc w kierunku północno-zachodnim napotkał Cabot niezmierne pola lodu; odmienił więc kierunek okrętów a płynąc na południowy zachód, odkrył w dniu 3 lipca wybrzeże Labradoru. Płynąc dalej widział Nową Fundlandyę a wylądowawszy w kilku miejscowościach nad wybrzeżem teraźniejszego stanu Maine, powrócił do Anglii, aby zdać sprawę o odkryciu nowej zachodniej części świata. W roku następnym powierzono mu inną ekspedycyę w celach handlowych i dla odkrycia drogi do Indyi. Lód w strefach północnych uniemożebliwił dokonanie ostatniego celu, i dla tego zwrócił się Cabot na południe i zwiedził całe wybrzeże od Labradoru aż do stanów Carolińskich. Dziewiętnaście lat później (1517) płynął znów w kierunku północnym i dotarł aż do zatoki Hudson. Dziewięć lat później zwiedzał w służbie króla hiszpańskiego wybrzeże Brazylii, gdzie odkrył wielką rzekę, którą nazwał Rio de la Plata, a na której popłynął przeszło 400 mil w głąb kraju.

Cabot najpierwszy odkrył w pobliżu Nowej Fundlandyi mnóstwo sztokfiszów i poznał ich wartość dla handlu; pięć lub sześć lat po tem odkryciu wysełano już bardzo wiele statków z Anglii, Bretanii i Normandyi w celu łowienia tych ryb. W r. 1523 wysłał Franciszek I., król Francyi, 4 okręty pod dowództwem słynnego żeglarza Jana Virazani w tym samym celu, jako i dla zwiedzenia wybrzeża nowego świata. W grudniu tego roku wypłynął tenże, lecz burza zniszczyła trzy z jego statków; z jednym tylko wypłynął w dniu 27 stycznia z wysp Madeira i przybył w marcu do Ameryki (w pobliżu Cape Fear w północnej Carolinie). Nie mógłszy w kierunku południowym na przeszło 50 milowej przestrzeni znaleźć stósownego portu, zwrócił się na północ i zwiedził wybrzeże aż do Nowej Fundlandyi. Zarzucił kotwicę w zatoce delawarskiej, później w nowoyorskiej, w porcie Newport i Boston, zawięzując zawsze stosunki z krajowcami.

Całemu wybrzeżu nadał nazwę Nowej Francyi. Wojna z Hiszpanią zajęła właśnie wtenczas umysł króla tak, iż wcale się nie interesował temi odkryciami. Tak minęło lat dziesięć. Dopiero w r. 1534 wysłano znów ekspedycyę, w celu zakładania kolonij i osad w Nowej Francyi. Jacques Cartier, dowódzca wyprawy, przebył cieśninę Belle Isle, wystawił wielki krzyż nad ujściem rzeki Gaspé i zajął kraj w imieniu króla francuzkiego. Odkrył także ujście największej rzeki w Canadzie, poczem odpłynął do Francyi, nie chcąc się narazić na wielkie burze, które zwyczajnie w jesieni nad wybrzeżem amerykańskiem się srożą. W maju 1535 wysłano go znów z trzema okrętami, na których się znajdowała znaczna liczba szlachty. Przebywszy cieśninę Belle Isle przybyli w dniu św. Wawrzyńca do zatoki, której nadali imię tego świętego. Płynęli potem rzeką, której także nadali imię św. Wawrzyńca, zarzucili kotwicę w pobliżu dzisiejszego Quebec, a potem zbudowawszy łodzie i promy, udali się do Hochelaga (dzisiaj Montreal) stolicy króla Huronów. Krajowcy byli wszędzie gościnnymi i przyjaznymi.

Kraj cały był płaszczyzną z wyjątkiem wysokiej góry po za miastem indyańskiem. Cartier wbiegłszy na jej szczyt, był tak zachwycony pięknym krajobrazem, który widział, iż nazwał górę Mont Real (góra królewska), którą to nazwę do dziś dnia nosi miasto u jej stóp leżące. Powróciwszy do Quebec przebył tam zimę, poczem w wiośnie wrócił do Francyi, utraciwszy 25 ludzi na szkorbut. Wyjazd swój napiętnował zdradą, zaprosiwszy bowiem króla Huronów na okręt, uprowadził go do Francyi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)